Nr. 17 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 września 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 26 zawiera: Michał Pawlikowski: Granice etyki myśliwskiej. — W. Sokołowski: Zabiłem. — Leon Starkiewicz: W obronie myszołowów. — S. Czerski, W. Garczyński, I. Grymiński, B. Przychodźko: Field - Trialsy Towarzystwa hodowli psów myśliwskich 1931 r. — W. Marr: Sprawozdanie z działu pointerów i seterów z wystawy w dniach 8 do 10 maja w Warszawie. — Stanisław Kamocki: Gospodarka łowiecka na poligonie artylerji. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelectwo. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 27 zawiera: Praca społeczna w zrzeszeniach myśliwskich. — Adam Rzewuski: Smutne Curiosum. — Janusz Domaniewski: W sprawie przyszłości jelenia w Polsce. — Park Zajęczy. — Henryk Kammer: W lasach Edwarda hr. Raczyńskiego w Dębicy. — Sędzia W. Marr: Sprawozdanie z Wystawy psów w Warszawie w dniach 8—10 maja. — Z Towarzystwa Ochrony żubra. — Myśliwy z Wołynia. Wiadomości bieżące.

TREŚĆ NUMERU 17:

Nr. 17 We Lwowie, 1 września 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXX ZJAZD ŁOWIECKI

odbędzie się

W DNIU 12 WRZEŚNIA 1931 R. WE LWOWIE

MSZA ŚWIĘTA

przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godzinie 9-tej.

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW M. T. Ł.

odbędzie się o godzinie 10 w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ul. Kopernika 4 (I piętro)

z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie;
2. Odczytanie i przyjęcie protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia;
3. Sprawozdanie z czynności Wydziału;
4. Sprawozdanie finansowe wraz ze sprawozdaniem Komisji rewizyjnej;
5. Preliminarz na rok 1931/32;
6. Wybory uzupełniające do Wydziału;
7. Wnioski i interpelacje.

Sprawozdanie z II-giej Sesji du Conseil International de la Chasse w Paryżu

Po kongresie łowieckim, który się odbył w Paryżu w listopadzie 1930 r., znowu ostatnie dni maja i pierwsze dni czerwca b. r., zgromadzają członków „du Conseil International de la Chasse" na drugą plenarną sesję du Conseil, zwołaną na dni między 29-ym maja a 2-gim czerwca b. r.

O ile kongres i zebrania listopadowe miały na celu ukonstytuowanie Związku i nawiązanie bliższego kontaktu pomiędzy członkami należącymi do tych narodowości, wreszcie i przygotowanie materjałów do następnej sesji, wszystko zaś przeplatane łowieckiemi i towarzyskiemi zebraniami, to obecna sesja miała już wykazać praktyczne ujęcie spraw łowiectwa międzynarodowego.

I z radością stwierdzić wypada, że egzamin ten wypadł dla C. I. C. dodatnio, w całem tego słowa znaczeniu.

O żywotności Związku świadczy wymownie cyfra państw, biorących w nim udział; przy powstawaniu Związku było ich 23, do wiosny bieżącego roku, drugich 23 zgłosiło swój akces, podnosząc do cyfry 46 liczbę państw, do Związku należących.

Referatów zgłoszono 16, z któremi załatwiono się na 2 plenarnych posiedzeniach, a te odbyły się w dniach

30 maja i 1 czerwca b. r., w wielkiej sali obrad Ministerstwa Rolnictwa. Zagajone one zostały przez Ministra Rolnictwa, który otwierał posiedzenie w dniu 30 maja.

Z referatów tych, do najważniejszych o znaczeniu międzynarodowem, ułatwiającem wzajemne stosunki łowieckie, zaliczyć należy projekt jednej numeryzacji śrutu dla całego świata i międzynarodowe pozwolenia na przewóz broni dla myśliwych, przez Conseil proponowanych, które uniemożliwiałyby trudności celne i szykany graniczne. Autorem pierwszego raportu Ks. Ratibor, drugiego p. Maxime Ducrocq prezes Związku.

Aż cztery raporty (referaty) tyczyły się ustawodawstwa łowieckiego a mianowicie dwa „La législation belge sur la chasse" i „projet d'enquête internationale sur les législations de chasse" Pana Leschevin, delegata z Belgji, dalej „Unification des lois de la chasse et Synchronisation des dates d'ouverture et de clôture", wreszcie „la réglementation de la chasse en Italie" p. Emanuela Cortis z Ministerstwa Rolnictwa i Dyrekcji Lasów państwowych we Włoszech. Dowiadujemy się z tego ostatniego raportu, że rząd faszystowski już ustawą z 3-go sierpnia 1928 starał się wprowadzić pewien ład i ujęcie prawne w stosunki łowieckie Włoch, dotąd bardzo upośledzone. Komisja centralna dla łowiectwa, powołana przez Ministerstwo w r. 1928, w czerwcu 1930 r. przedstawiła gotowy projekt ustawy łowieckiej. Projekt ten z małemi zmianami został już zatwierdzony przez Radę Ministrów i prawdopodobnie w obecnej chwili już stał się obowiązującą ustawą. Zatrzymuje ona podział dawniejszy terenów łowieckich. „Les bandita", zostają rezerwatami ,na których wolno polować tylko za specjalnem pozwoleniem Ministerstwa i „Les riserva" gdzie polowanie i łapanie („ucellagione") zwierzyny i ptactwa, dozwolone właścicielom prawa polowania, z zachowaniem naturalnie przepisów ustawowych i obowiązkiem utrzymywania stanu zwierzyny stałej na pewnym poziomie. W razie zwichnięcia tego, obowiązanym jest właściciel, względnie dzierżawca do doprowadzenia zwierzostanu do odpowiadającego wielkości terenu łowieckiego stosunku. Zwierzynę dzieli ustawa na dwie kategorje, pierwsza „noble fixe" obejmuje wszystkie prawie ssaki, głuszce, cietrzewie, jarząbki i kuropatwy, druga to „commun", obejmująca ptaki przelotne. Ustawa jednak chroni je w okresie lęgowym i dojrzewania ptaka, jakoteż zabrania łowów w nocy, w razie katastrof meteorologicznych, zabrania wreszcie polowania na nie na terenach, zwanych „bandita".

Rozpisałem się nieco o raporcie p. Cortis'a, zawiera on bowiem mnóstwo szczegółów w wysokim stopniu i naszych myśliwych interesujących. Szczegóły te wypełniłyby całą szpaltę naszego „Łowca".

Z raportów stojących w bezpośrednim związku z opieką nad ptactwem przelotnem, wymienię tu hr. Justiniana Clary „La protection de la bécasse", p. Leschevin „la chasse et la protection de la bécasse"; p. Saulescu directeur gènèral du Service de la Chasse przy Ministerstwie Rolnictwa w Bukareszcie „La Caille"; hr. Hartiga „Protection des oiseaux migrateurs"; p. Lilette „Convention internationale de Paris pour la protection des oiseaux. P. des Prugnes „les oiseaux migrateurs et les phares"; P. Zevas z Ministerstwa w Atenach „Les oiseaux migrateurs et les meseres à envisager pour leur protection". Bardzo ciekawy raport P. Louis Ternier „la destruction des oiseaux de mer par le mazout".

Z powyżej przytoczonych a na Conseil Intern. poruszonych spraw, mogą się Szanowni Czytelnicy przekonać o korzyściach, dla Łowiectwa międzynarodowego powstałych przez utworzenie Związku łowieckiego międzynarodowego i o inicjatywie i pracowitości członków Związku.

Gościnność Paryża i Komitetu Organizacyjnego du Conseil miała znowu szerokie pole, by nam delegatom umilić chwile w Paryżu spędzone, a świetnością przyjęć i gościnnością tak wyjątkową stworzyć niewyczerpane źródło przeżyć i wspomnień.

Podobnie jak w listopadzie, Państwo Maxime Ducrocq przyjmowali 29 maja w swych gościnnych salonach członków du Conseil i wybitne osobistości ze świata dyplomatycznego i towarzyskiego. Danem mi było złożyć Księżnej d'Uzès życzenia i powinszowania z okazji sforsowania przez Nią w kwietniu b. r. swego dwutysiącznego jelenia w życiu, na co mi dostojna ta Pani odpowiedziała, wskazując na grandle, zawieszone na szyi a osadzone w naszyjniku z przepysznych pereł: „c'est mon plus beau bijou, au quel je tiens le plus". Przypomnę, że Księżna skończyła 85 lat a w listopadzie ubiegłego roku miała wypadek automobilowy, połączony ze złamaniem dwóch żeber.

Na drugi dzień t. j. 30-go maja, posiedzenie plenarne du Conseil rozpoczęło się o 9-tej rano w Ministerstwie Rolnictwa, trwając prawie do 1-szej. Po posiedzeniu w ogrodzie Ministerstwa wspólna fotografia z Paniami, które tam się zebrały, by wspólnie z nami udać się do S-te Gemme en forêt de Marly, dokąd zostaliśmy zaproszeni przez Towarzystwo wyścigów chartów na wyścigi, poprzedzone bankietem, prezydowanym przez Margrabiego de l'Aigle, prezesa tego towarzystwa.

Wyścigi bardzo ciekawe, a widok chartów, ubranych w czapraki o kolorach swych Panów, w szalonej gonitwie za wypchanym zającem, którego mechanizm nie dozwala żadnemu ze współzawodników zanadto się do niego zbliżyć, bardzo ciekawy i niezwykły. Wieczorem tego dnia objad oficjalny w dużej sali Hotelu Continental, prezydowany przez P. Ministra Rolnictwa.

Objad na 400 osób przeszło, podczas gdy w listopadzie tylko na 124 w sali hotelu Claridge, świadczy wymownie, że z liczby 23 Państw wówczas tam reprezentowanych, obecnie już Państw 46 Conseil w łonie swem jednoczy. — Długi szereg toastów, rozpoczętych toastem Ministra Rolnictwa na pomyślność Związku. Po obiedzie dwa filmy, z których oglądałem pierwszy, odtwarzający polowanie na kozice, Króla Aleksandra Jugosławiańskiego.

W niedzielę 31-go maja rano, zwiedzamy trofea Księ-

cia Orleańskiego. Po południu Conseil zaproszony i przyjmowany na trybunie oficjalnej na wyścigach w Longchamps, poczem zwiedzanie i przyjęcie przez Komitet Wystawowy w Vincennces na Wystawie Kolonjalnej.

W poniedziałek 1-go czerwca o 9-tej rano, posiedzenie plenarne, znowu we wielkiej sali obrad w Ministerstwie Rolnictwa, na której ustalić się miało miejsce następnego zebrania du Conseil. Prezes Ducrocq zaproponował, by w odpowiedzi na tak uprzejme zaproszenie Ministerstw Polskich do zwiedzenia łowisk polskich, naznaczyć miejsce przyszłych posiedzeń w Warszawie na rok 1933. — Wniosek ten przyjęto aplauzem całego Zgromadzenia. W serdecznych wyrazach dziękowałem Prezesowi Ducrocq za jego inicjatywę i tak sympatyczne przyjęcie jego wniosku przez Zebranie.

W tej samej sprawie zabrał głos po mnie delegat z Rumunji, też Wiceprezes Związku, p. Plagino, by w imieniu Króla Carola, prosić, aby jedno z najbliższych posiedzeń Conseil'u zebrało się w Bukareszcie, a więc zaraz następne po Polsce, przyczem dodał, że Król Carol, dla uprzyjemnienia wówczas pobytu delegatów du Conseil, zamierza polecić urządzenie łowów na grubego zwierza i w delcie Dunaju, na terenach łowieckich do Korony należących.

W odpowiedzi Panu Plagino, odstąpiłem Rumunji termin Zebrania du Conseil w Warszawie na rzecz Bukaresztu, co z wdzięcznością delegaci Rumunji przyjęli. Posiedzenia zatem najbliższe plenarne du Conseil odbyć się mają w Bukareszcie w r. 1933 a w Polsce w roku 1936.

Po zamknięciu posiedzenia udajemy się do Cercle du Bois de Boulogne, przyjmowani tam śniadaniem i konkursowem strzelaniem do gołębi.

We wtorek 2-go czerwca wycieczka do Rambouillet, zwiedzanie tamże parku i chowu bażantów, a po śniadaniu w Rambouillet zakończenie Zjazdu zwiedzaniem Versailles i Trianon.

Pobyt mój tym razem w Paryżu został dla mnie zakłócony sprawą artykułu marcowego w dzienniku Berlińskim „Zeitschrift für Forst und Jagdwesen", a sprawa ta, stała się dla delegatów z Polski najważniejszym momentem paryskich obrad. W skład delegacji z Polski wchodzili, prócz mnie, hr. Jerzy i Maurycy Potoccy i hr. Adam Zamoyski.

Wyżej wspomniane pismo w odpowiedzi na zaproszenie ze strony Ministerstwa Komunikacji w Warszawie, do zwiedzenia łowisk polskich, w imieniu łowiectwa niemieckiego i tego. Prezesa Księcia Alfonsa Isenburga, w tonie i formie w najwyższym stopniu brutalnej, odrzuca to zaproszenie.

Podobne zaproszenia, opatrzone prospektem z opisem zwierzostanów w Polsce, przez Ministerstwo Rolnictwa wygotowanym, przesłało Ministerstwo Komunikacji do państw, łowiectwem się interesujących. Artykuł ten, który słusznie wywołał oburzenie wszystkich delegatów zebranych na posiedzeniu plenarnem Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, w dniu 10-tym maja b. r. w Warszawie się odbywającem, nie mógł pozostać bez odpowiedzi. Na mnie zatem włożono obowiązek poruszenia tej smutnej sprawy na terenie międzynarodowym t. j. na posiedzeniu plenarnem du Conseil w Paryżu.

I chociaż w pierwszym rzędzie pismo to zaatakowało Ministerstwo Komunikacji w Warszawie, sądziłem, że nie wolno mi uchylać się od tego obowiązku równie zaszczytnego jak trudnego. Przyjeżdżając zatem do Paryża, zapowiedziałem Prezesowi Związku Panu Maxime Ducrocq, że na jednem z posiedzeń do wiadomości Związku, incydent ten podam.

Inkryminowany artykuł w „Zeitschrift für Forst und Jagdwesen", napadając na łowiectwo i myśliwych w Polsce, zaznaczało, że czyni to też w imieniu Prezesa Łowiectwa w Niemczech, Księcia Alfonsa Isenburga. — Książę Isenburg nie jest delegatem do Conseil International de la Chasse, gdzie rzecznikiem interesów łowieckich Niemiec jest Książę Ratibor. Do tego też ostatniego zwrócił się Prezes Ducrocq z pytaniem, czy artykuł „Zeitschrift" jest mu znanym, a otrzymawszy odpowiedź od Księcia Ratibora, że dopiero w Paryżu o nim się dowiedział i że artykuł ten potępia i nie przypuszcza ani chwili, by znajomy jego, Książę Isenburg był inicjatorem tego artykułu, zapytał P. Ducrocq Ks. Ratibora, czy nie byłoby wskazanem, by Książę tę sprawę poruszył w konferencji ze mną. Upoważniony do tego, zwrócił się do mnie Prezes Ducrocq z propozycją, byśmy wspólnie incydent ten omówili. Zgodziłem się zatem i w dniu drugiego posiedzenia, przed rozpoczęciem debat, zeszliśmy się w sali Ministerstwa we czterech, gdyż zaprosiłem też i drugiego delegata z Polski Maurycego hr. Potockiego.

Książę Ratibor zaznaczył, że nie może występować jako zastępca łowiectwa w Niemczech, gdyż nie ma do tego tytułu, ale jako kolega nasz w Conseil i reprezentant tamże Niemiec, ofiarowuje swe pośrednictwo, jako „oficium boni viri" w nadziei, że Polska i łowiectwo polskie otrzymają należne zadośćuczynienie.

Zaraz na początku posiedzenia, przed porządkiem dziennym, udzielił mi głosu Prezes Ducrocq. Zaznaczyłem w mem przemówieniu, że zwracam się do Conseil, jako do suprême Cour d'appel pour tout ce qui est chasse et chasseur dans le monde a zaznajomiwszy zebranie z tą bezprzykładną napaścią, złożyłem na ręce Prezesa dla użytku du Conseil, następującą deklarację:

„Les représentants des Organisations Cynéégtiques de Pologne, réunis en Assemblée à Varsovie le 10 Mai dernier, après avoir pris connaissance du communiqué irresponsable, publié dans la Zeitschrift für Forst und Jagdwesen de Berlin du mois de Mars année courrante, ont blâmé de la façon la plus formelle l'attaque brutale et sans exemple contre la Pologne et les chasseurs polonais. Vu l'article premier du Statut du Conseil International de la Chasse, qui impose à tous ses membres d'établir des rapports permanents entre les chasseurs de tous les

pays, les Organisations Cynègétignes polonaises, que nous avons l'honneur de représenter ici, nous ont chargé de porter à la connaissance du Conseil cet incident pènible, qui dèvoile des mèthodes de lutte, basées sur des calomnies intolérables dans les cercles des chasseurs du monde entier.

Nous ne voulons donner aujourd'hui autre suite à cette triste affaire, ayant le ferme éspoir, que les éléments allemands, rvisonnables et honnêtes trouveront des moyens aptes à nous donner juste et entière satisfaction"

A że z ostatniem zdaniem zwróciłem się wprost do Księcia Ratibora, z którym na posiedzeniach sąsiadujemy, a któremu przed posiedzeniem powyższą deklarację odczytałem, więc Książę Ratibor odpowiadając, powtórzył mniej więcej swe poprzednie oświadczenie.

Przed wyjazdem z Paryża Książę Ratibor obiecał mnie zawiadomić zaraz po widzeniu się z Księciem Isenbergiem. Miało to miejsce w Rostock na zebraniu plenarnem łowieckiem, które przy końcu lipca tam się odbyło i otrzymuję wiadomość, że Książę Isenburg nic o tym artykule nie wiedział i że artykuł ten potępia.

Mam zatem nadzieję, że w najbliższej przyszłości, sprawa ta zostanie zakończona zupełnem dla Polski i Łowiectwa Polskiego zadośćuczynieniem.

Juljusz Bielski
wiceprezes C. I. C.

We Lwowie, 24 sierpnia 1931 r.



BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Odżywianie zwierzyny w porze zimowej

(Dokończenie)

B u l w y i k o r z e n i e roślinne, prócz dużej zawartości substancyj spożywczych, dają także organizmowi odpowiednią ilość wody, a wszelkie gatunki buraków a specjalnie zaś marchew, posiadają oprócz wyżej wspomnianych zalet, jeszcze i to, że są doskonałym środkiem na spędzanie robaków. Pozatem o k r a w k i b u r a c z a n e jak i w y t ł o k i z i e m n i a c z a n e spożywa zwierzyna grubsza bardzo chętnie w stanie świeżym, czy też zakwaszonym; zakwaszone są pozatem silnym środkiem nęcącym. Jeżeli nabycie tych artykułów nie sprawia wielkich trudności, powinno się je zwierzynie podawać. Gdy się zostawi topinambur i słonecznik (Helianthus salsifis), przez całą zimę na polu, to prócz dobrego pożywienia, służy jako schronienie dla zwierzyny. Bulwy tych roślin mają większą zawartość białka (około 0,4%) niż ziemniaki, i wszelkie gatunki zwierzyny łownej, jak również i bażanty, spożywają je bardzo chętnie. Dwa wymienione wyżej gatunki słonecznika są równo i wysoko wartościowe, dlatego w każdym rewirze łowieckim należy je sadzić, temwięcej, że rosną znakomicie prawie że na każdym gruncie.

K a p u s t a p a s t e w n a odznacza się wzrostem dochodzącym do wysokości 1½ metra, a grubość łodygi równa się ramieniu dziecka. Jest ona dla drobniejszej zwierzyny doskonałem schronieniem przed mrozami i niepogodą, a dla jeleni, sarn, zajęcy i bażantów, w szczególności zimą, ulubionem pożywieniem. Z powodu wielkiej zawartości wody (do 94%) kapusta ta jest mniej odżywcza, za to zawiera w sobie znaczną ilość soli, które ułatwiają trawienie i pobudzają apetyt.

Do r o ś l i n a r o m a t y c z n y c h o wartości dietetycznej, które powinno się zbierać, suszyć i mieszać z paszą zimową, należą: Biedreniec pospolity (Pimpinella saxifraga), kminek (Carvum carvi), koper (Anethum foeniculum), krwawnik (Achillea millefolium), lebiodka (Origanum vulgare), macierzanka (Thymus serpyllum), piołun (Artemisia absinthium), podróżnik pospolity (Cichorium intibus) i wrotycz (Tanacetum vulgare).

Dla sprowadzenia zwierzyny do paśników i umiejscowienia jej w rewirze, można posługiwać się następującemi ś r o d k a m i n ę c ą c e m i: dla jeleni i danieli podawać kiełki słodowe i gałązki jemioły, która jest tak chętnie zjadana przez zwierzynę, że dla tego przysmaku sprowadzi się nawet z dalszych terenów; dla sarn — również kiełki słodowe, dojrzałe jabłka lub skórki z tychże, proszek anyżowy i proszek kopru; dla zajęcy — korzenie i liście pietruszki jak i jabłka lub ich skórki; dla bażantów — grubo proszkowane mięso sztokfisza (dorsz).

D a n i e l o m i j e l e n i o m podaje się następującą paszę: Buraki wszelkich gatunków; marchew; bulwy to-

pinambura lub słonecznika (Helianthus salsifis); żołędzie; kasztany; bukwie; owoce jarzębiny, dzikich drzew owocowych; gałęzie jarzębiny, jemioły, osiki, wierzby, brzozy, jodły, klonu i topoli; suszone liście dębu, bzu jeleniego (Sambuccus racemosa), lipy, jesionu, brzozy i maliny; snopki niemłóconego owsa, o ile stosunki gospodarcze na to pozwalają; siano, może być nawet z łąk kwaśnych, również siano z koniczyny, lucerny, esparsety (Onobrychis sativus) i seradeli (Ornithopus sativus); suszone łodygi i liście topinambura (Helianthus tuberosus i macrophyllus) i słonecznika (Helianthus salsifis), suszenie łodyg należy uskuteczniać już w lipcu lub sierpniu; dobre są również zgrabione i nawet później wysuszone liście kasztanowca; kapusta pastewna (Brassica oleracea procera). Jednakże należy pamiętać, że karmieniem zwierzyny nie mamy zaspakajać tylko jej głodu, lecz również brać pod uwagę rozrost rogów i kości i dlatego do każdego ½ kg paszy trzeba domieszać 20 g soli i 10 g wapna fosforowego.

S a r n o m podaje się: Buraki; marchew; żołędzie; kasztany śrutowane lub gniecione i odgoryczone; owoce dzikich drzew owocowych i jarzębiny; siano z liści takich jak jeleniom i dobre siano z traw; gałązki drzew liściastych tak jak jeleniom, również stale liście kapusty pastewnej. Należy pamiętać, aby przy wysokim śniegu oczyszczać pługiem miejsca porośnięte wrzosem i borówkami, pozatem oczyszczać linje celem ułatwienia sarnom chodzenia po rewirze, gdyż zwykle przy odwilży tworzy się ze śniegu skorupa zlodowaciała, czyli t. zw. „krusta", która kaleczy sarnom racice.

Z a j ą c o m i k r ó l i k o m należy podawać: buraki; marchew; odcięte gałązki akacji, osiki, wierzby, a przedewszystkiem gałązki drzew owocowych. Po brzegach linij oraz polan, zaleca się plantować żarnowiec i jarmuż, są to rośliny bardzo chętnie spożywane przez zające. Również należy podawać snopki niemłóconego owsa, przywiązując je do drzewa. Siana łąkowego zające nie jadają chętnie, zato smakuje im wyśmienicie koniczyna i kapusta pastewna. Podczas wysokich śniegów nie należy zapomnieć o podawaniu zającom główek kapusty białej, które nadziewa się na paliki wsadzone w ziemię i to na wysokość taką, ażeby zające mogły swobodnie sięgnąć.

Żadna zwierzyna nie potrzebuje takiej opieki jak k u r o p a t w y, dlatego powinno się je karmić przez całą zimę, tem więcej, że paszenie ich nie sprawia wielkiej trudności. Pasza kuropatw składa się z pośladu pszennego lub jęczmiennego. W braku tego podaje się nasiona różnych chwastów, a w szczególności kłosy rośliny babki (Plantago major, media i lanceolata), zbieranej i suszonej latem, nie zaszkodzi też dorzucić kilka liści kapusty, ponieważ ptaki te chętnie je jadają. W miejscach, gdzie się pasie kuropatwy, należy nasypać nieco żwiru i grubego piasku, który jest im konieczny do trawienia. Dlatego też w okolicach, gdzie jest gleba gliniasta, powinno się nawet porą letnią sypać żwir i gruby piasek.

Najmniej wybrednym ptakiem pod względem paszy — to b a ż a n t; jada on wszystko co się podaje. Jednak nim pierwszy śnieg spadnie, a najlepiej już w październiku, należy bażanty przyzwyczaić do miejsc paszenia, gdyż one nie szukają nigdy pokarmów pod śniegiem. Najwięcej przywiązuje bażanty pasza, składająca się z pośladu pszennego lub samej pszenicy. Również spożywają poślad jęczmienny, kolby kukurydzy, owoce jarzębiny, dzikiego bzu i słonecznika, posiekane buraki, marchew i kapustę, a także parowane ziemniaki. Pozatem jadają papkę zrobioną z wymytych gotowanych i posiekanych bulw topinambura albo słonecznika; papkę podaje się na podstawkach od doniczek i stawia się w miejscach paszenia. Powinno się także pamiętać o podawaniu bażantom dobrego żwiru i grubego piasku.

Wkońcu należy nadmienić o tak zwanych lizawkach, o których się pisze w podręcznikach i czasopismach łowieckich, lecz niestety mało praktykuje. Ilość zawartej soli w roślinach jest w wielu wypadkach niewystarczająca dla organizmu, a konieczna do trawienia, przytem jest również dobrą przynętą dla jeleni i sarn jak i środkiem do ich umiejscowienia. Jeżeli zwierzyna lizawek nie zna, to zawsze upłynie jakiś czas, nim zacznie z nich korzystać. Tam gdzie rośliny zawierają dużo soli, zwierzyna z lizawek korzystać nie będzie, lecz takich rewirów leśnych mamy bardzo mało. Lizawki preparuje się w następujący sposób: Sól bydlęcą miesza się z gliną tłustą, oczyszczoną z piasku i do tej mieszaniny dodaje się nieco wapna fosforowego. Mieszanina ta powinna się składać z 6 części gliny, 4 części soli i 1 części wapna. Masą tą napełnia się skrzynkę, zrobioną z pniaków dębowych albo sosnowych, wielkości 1 metra w kwadrat i ½ metra wysoką. Skrzynkę wypełnia się ponad brzegi a górnej powierzchni nadaje się kształt kopulasty. Wierzch należy dla przynęty posypać proszkiem anyżowym lub koperkowym albo kiełkami słodowemi, lub w razie braku tego — owsem. Lizawki zakłada się zazwyczaj przy miejscach paszenia lub też w pobliżu wodopojów.

Z powyższego widzimy, jak ważną jest funkcja odżywiania zwierzyny w zimie i ile trzeba dołożyć starań, ażeby mieć zwierzostan nieprzeciętny. Kto chce polować, musi bezwzględnie opiekować się zwierzostanem, inaczej zwierzyna wyginie w szybkiem tempie; zostaną tylko sztuki słabe i chore.

Powyższy artykuł ma na celu dopomożenie licznym zastępom myśliwych i właścicieli lasów do utrzymania znajdującego się w ich posiadaniu zwierzostanu w jak najdoskonalszej formie. Nie należy jednak brać pod uwagę tylko wynikających stąd korzyści, lecz trzeba mieć na względzie przedewszystkiem pobudki ideowe, wypływające z miłości dla cudów przyrody. Bo człowiekowi, będącemu królem tej ziemi, nie wolno być wobec niższych stworzeń samolubem, bo one mu służą, a służąc — pomagają i dają możność bytowania.

ALBERT MNISZEK

Z ukraińskich wód i stepów

(Zapiski myśliwskie i ornitologiczne)

Słoneczny poranek, zapowiadający skwarny dzień sierpniowy — na ukraińskim stawie.

Przewoźnik wiezie mnie z psem legawym wśród lasu trzcin i szuwarów ku spławowi leżącemu na skraju wielkiej halawy. Na jednym z nich mam umieszczony stołek. Wysiadam z łódki, siadam na nim, koło mnie pies — łódka odpływa — czekamy na ranny zapad dzikich gęsi. Spoglądam na zegarek — do godziny dziewiątej brakuje 10 minut. Za tych chwil kilka zaczną one nadlatywać, zjawiają się bowiem z zadziwiającą punktualnością na stawie i to zawsze w tem miejscu, gdzie były dnia poprzedniego, o godzinie dziewiątej w dzień pogodny co do minuty. Czekam więc cierpliwie i spoglądam na psa, wiem bowiem z doświadczenia, że on odemnie o jaką minutę wcześniej gęganie lecących ptaków usłyszy i nastawi uszy, spoglądając w stronę, skąd głosy go dochodzą. Jakoż po chwili gryfonka moja daje mi znak nieomylny, że gęsi zerwały się z pól i dały hasło do lotu na staw — przewoźnik woła z brzegu „husy letiat, a za sekund kilka i ja słyszę tę przemiłą dla ucha myśliwskiego lotną orkiestrę ptaków — zjawia się ich pierwsze stadko nademną, grzmią moje strzały — i ciężkie ich ciała padają w wodę, lub w trzciny. Nabijam z pośpiechem, bo leci nowe stado — znowu strzały uwieńczone powodzeniem, czasem i z trzeciego uda się jeszcze coś ustrzelić, ale następne już spostrzegły niebezpieczeństwo; ptaki zbijają się w hurmę, zawracają i odlatują na inny staw. Polowanie na gęsi skończone. Przewoźnik nadpływa, wsiadam do łódki — podnoszenie i szukanie ubitych sztuk. Płyniemy dalej — zaczyna się pogrom kaczek.

Rozmaicie udają się takie polowania na gęsi. Czasem zapadną one dalej, nie przelatując na strzał i długo czekać trzeba, aby podpłynęły bliżej lub całkiem bezskutecznie się na to czeka, wtedy przewoźnik próbuje napędzić je na myśliwego, ale manewr ten zwykle się nie udaje. Ptaki ujrzawszy łódkę, odlatują w przeciwną stronę. Rzadko jednak wracałem z zapadów tych bez rezultatu, a dwa razy udało mi się ubić po dziewięć sztuk.

Bywało też nieraz, że wśród polowania na kaczki, nadlatywały mi gęsi przypadkowo na strzał, lub podjeżdżałem zapadłe na halawach, podkradając się oczeretami, rzadko jednak udawało mi się zjechać je na strzał śrutowy, ubijałem jednak czasem pojedyńcze sztuki kulą z mego Tella z lunetą. Strzał kulowy jednak z kołyszącej się łódki jest nader trudny. Nigdy nie zapomnę zabawnego epizodu z tych łowów, jaki przebyłem, zjawiwszy się na stawie „Kamiennym“ pierwszy raz z browningiem. — Przewoźnik mój, Wasyl, ujrzawszy w mych rękach wyjętą z futerału, jednolufkę, wyraził bardzo sceptyczne, co do rezultatu polowania, poglądy. „Lepiej wróćmy do domu“ kończył je, widocznie na mojej myśliwskiej wartości zawiedziony — „jest dobra dubeltówka po nieboszczyku panu, są i gotowe ładunki — z jedną lufką nie zrobimy nic“. Tłumaczyłem mu, że jakoś sobie radę damy, a że miałem już w magazynie cztery naboje włożone w domu, wsunąłem przy nim ostatni do lufy, tak, że nie miał on o tamtych spoczywających w magazynie pojęcia.

Było to w początkach lipca. Gęsi trzymały się jeszcze stadkami, nie odlatywały na żer i przebywały po halawkach, na których je łatwo, zachowując pewne ostrożności, zjeżdżało się na pewny i łatwy strzał śrutowy.

Wypatruję stadko złożone z pięciu sztuk w dogodnem znajdujące się dla podjazdu miejscu. Podjeżdżamy je też gładko i któż potrafi wyrazić ogrom zdziwienia mego Wasyla, gdy cztery pierwsze moje strzały strąciły z powietrza cztery ptaki. Piąty chybił, tylko dlatego, że Wasyl swym krzykiem wytrącił mnie z równowagi. — Miałem swoją drogą strzały do zrywających się, młodych, ledwie umiejących latać ptaków niesłychanie łatwe, trzeba było mieć tylko trochę spokoju i zimnej krwi, której mi nigdy w takich razach nie brakowało. Browning mój wywoływał zresztą ogólne zdumienie. Słyszałem raz po danej salwie z całego magazynu, jak mówił na brzegu jeden chłop do drugiego: „Szczo to takoho — kij czort! Ten maje jednoju rurku, a strylaje w smert!“.

W ten sposób polując przez kilka lat dziesiątek na ukraińskich stawach, ubijałem około 40 sztuk rocznie, co dało mi rekord myśliwski w swoim rodzaju.

Co się tam teraz dzieje, na tej żyznej, krwią naszą obficie zroszonej Ukrainie, nie wiem. — ...Czy istnieją jeszcze te wspaniałe stawy — czy polują na nich nowi, czerwoni władcy tego kraju? — czy gnieżdżą się tam dzikie gęsi?

Przed wojną światową gęś dzika była ptakiem gniazdowym na Ukrainie, ale pod względem wyboru miejsca na lęgi, była bardzo kapryśną. Wśród setek, a może i tysięcy stawów ukraińskich, zaledwie kilka poszczycić się mogło tym ptakiem, jako lęgowym. W okolicy, którą znałem, gnieździła się gęś dzika tylko na trzech stawach: nowochwastawskim, morzowieckim, zwanym kamiennym, mojej ś. p. Ciotki i wierzchowieńskim, Adama hr. Rzewuskiego. Wylęgała się jednak na nich bardzo obficie. Mogę twierdzić bez przesady, że stawy te w łącznej przestrzeni jakich 500 hektarów, więc nie tak bardzo wielkie, produkowały rocznie do 100 stad, a więc przeciętnie licząc po pięć młodych na stadko — 500 sztuk a wliczywszy 200 starych, ilość cała wykazywała poważną liczbę 700 sztuk. Ptaki te na wiosnę żerując w nadbrzeżnych zbożach, robiły znaczne w nich szkody, tak, że właściciele płacili za nie poważne odszkodowania.

Prócz zasiadek na stawach, można było urządzać je także na ścierniskach pszenicznych, lub grochowych. — Myśliwy wiedząc, że gęsi po południu koło godziny 5-tej lecą ze stawu na pola, obkładał je snopami i z tego

ukrycia strzelał do nadciągających stad. Manewr ten udawał się jednak na tem samem polu raz jeden tylko. Ostrożne ptaki już więcej w tym samym roku go nie odwiedzały, wybierając inne. Tak samo działo się i na stawie. Po doznanym pogromie, przenosiły się gdzieś dalej, ale po upływie dni kilku, — bywały zawsze z powrotem. Z końcem sierpnia stadka zbijały się już w jedną wielką hurmę. — Polowania więc wtedy nie dawały tak lukratywnych wyników, gdyż myśliwy miał już tylko jedno spotkanie możliwe. Raz udało mi się strącić z takiej hurmy 5 sztuk, dwoma strzałami, a towarzyszowi mych łowów ś. p. Tadeuszowi Mostowskiemu jednym strzałem 3 sztuki, gdy mu pierwszy strzał zawiódł.

Gęś dzika przylatuje do nas z końcem marca i natychmiast rozdziela się na pary. Ponieważ samców jest więcej od samic, pozostają one często sezonowymi kawalerami i przyłączają się później do stadek, biorąc na siebie rolę guwernerów. Widywałem często z początkiem lata stadka, w których bywało troje starych ptaków, widywałem też wtedy stadka, złożone z kilku starych samców. — W pierwszych dniach pobytu u nas, a więc w chwili zawierania związków małżeńskich, gęś dzika jest niezwykle śmiałą i w stosunku do ludzi nieostrożną. Zakochane pary siadają na dworskich gazonach w pobliżu przechodzących ludzi i nic sobie z nich nie robią. Obserwowałem fakt taki wiele razy. Nie wiem, jaką jest przyczyna takiego zachowania się zresztą tak bardzo ostrożnego ptaka. Czy może głód je do tego zmusza w czasie, gdy na polach i stawach jeszcze zamarzniętych żadnego pożywienia znaleźć nie mogą? Widywałem gęsi dzikie siadające na podwórzu oficyn i chodzące wśród drobiu i świnek.

Ponieważ gęsi dzikie, jak wspomniałem wyżej, po przybyciu do nas na wiosnę, natychmiast rozbijają się na pary i wchodzą w okres godowy, uważam, że dzisiejsze polskie prawo łowieckie, ustanawiające czas ochronny dla tych ptaków dopiero od 15 maja, srodze je krzywdzi. Są one stałymi, lęgowymi obywatelami, a nie gośćmi przelotnymi w Polsce i choć długa wojna światowa zmniejszyła stan ich u nas znacznie, gnieżdżą się one jednak na kilku stawach w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu, co roku ich przybywa, **przeto należy się im już od dnia ich przylotu do połowy lipca, czyli do czasu, w którym już są doskonale lotne, bezwzględna ochrona.**

Gdy nadejdzie czas lęgu i wychowania młodzieży, gęsi dzikie żyją tak skrycie, że nikną zupełnie z oczu najbystrzejszego obserwatora. Na stawie, który kryje w swych oczeretach kilkadziesiąt gnieżdżących się par, niktby się ich istnienia nie domyślił, czasem chyba jakieś pióro gęsie woda na widownię uniesie. Z końcem czerwca dopiero, wypływają pierwsze stadka, jeszcze latać nie umiejące, z szuwarów i w dzień słoneczny wygrzewają się do słońca, trzymając się jednak przezornie na granicy lustra stawu, by w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, ukryć się w głębi swych mrocznych kryjówek. Dlatego też dawniej, u myśliwych starego autoramentu, dzień św. Jana był dniem otwarcia polowania na podloty gęsie. Polowanie takie uważam za nieetyczne i nie interesujące, bo cóż łatwiejszego, jak wybić spotkane takie nielotne stadko do nogi.

Gęsi stare są nadzwyczaj troskliwe o swe potomstwo i chętnie w jego obronie narażają życie. Najechałem raz niespodziewanie stadko nielotne, na małej halawie. Gęsior rzucał się niemal na me czółno, ofiarowując swe życie, podczas gdy matka z piątką maleństw uchodziła szybko ku spławowi. Gdy doń podpłynęła, a był dość wysoki, tak, że gęsiątka nie mogły dość szybko się nań wygramolić, podważała dzióbkiem je z tyłu i podnosiła do góry kolejno i dopiero ostatnia wyskoczyła na spław i zniknęła mi z oczu. Był to piękny i wzruszający obrazek miłości macierzyńskiej, który mi dotąd w żywej pozostał pamięci. Była to jedna z podpatrzonych tajemnic mądrej matki-przyrody.

Gęś dzika, gęgawa (Anser cinereus) pozostaje u nas do pierwszych dni października, póki nie zjawi się jej pobratymka gęś zbożowa (Anser segetum), ptak u nas tylko przelotny. — Wygląda to tak, jakby ustępowała jej miejsca, z ukazaniem się bowiem pierwszego stadka zbożowych, znika już z widowni i odlatuje na południe gęś lęgowa.

Na jeden jeszcze szczegół z życia gęsi dzikich zwrócić muszę uwagę. Taczanowski i inni ornitologowie twierdzą, że ptak ten nurkować nie umie. Moje obserwacje z tem twierdzeniem niezupełnie się zgadzają. Ptak ten, zdrowy, jak zresztą i kaczka dzika, w niebezpieczeństwie nie nurkuje, lecz skrzydłom powierza swój ratunek, zbarczony jednak, stara się ukryć pod wodą, jeżeli spadnie na czyste miejsce. Nie potrafi czynić tego tak głęboko jak kaczka, ale na chwilę kryje się pod wodą. Zbarczona raz przezemnie gęś dzika przepłynęła pod wodą, wystawiwszy z niej tylko dziób, całą szerokość (około 500 metrów) czystego lustra stawu.

(dok. nast.)



Notatki bibljograficzne

Józef Birkenmajer. Legenda łysogórska o Bolesławie Chrobrym. (Rozdział większej pracy p. t.: „Bolesław Chrobry w poezji polskiej"). Lwów, Ossolineum, 1931. Osobne odbicie z „Pamiętnika Literackiego", r. XXVIII, z. I, in 8-vo, str. 17.

Autor, zaszczytnie znany poeta i uczony, rozpatruje w swej pracy, opartej na źródłach, genezę powstania klasztoru Benedyktynów na Łysej Górze, w górach Świętokrzyskich. Na tę pracę zwracam uwagę na łamach „Łowca" dlatego, że legenda łysogórska ma związek z dziejami, aczkolwiek legendarnemi, naszego łowiectwa, a nadto, co ciekawsze, wykazuje powinowactwo z podaniem o Św. Hubercie. Z pomiędzy rozmaitych warjantów legendy, szczegółowo przez Birkenmajera analizowanych, interesuje nas ten zwłaszcza, wedle którego Emeryk, syn króla węgierskiego Stefana, zaślubiwszy córkę Bolesława Chrobrego, poluje z teściem w głębokich puszczach pod Kielcami, a zapędziwszy się samotnie za jeleniem, doznaje cudownego widzenia. Objawia mu się mianowicie anioł, wzywający go na szczyt Łysej Góry i rozkazujący uczynić ofiarę na rzecz istniejącego tu już klasztoru. Przedmiot ofiary — to drzewo Św. Krzyża, które Emerykowi ojciec jego, król Stefan, dał był na szczęśliwą drogę. Emeryk, znany z świątobliwych zasad, — wszak był to późniejszy Święty Emeryk, — czyni zadość wezwaniu, odstępuje relikwię klasztorowi i tak powstaje pierwsza w Polsce świątynia Św. Krzyża. Legenda łysogórska przenosi się z czasem na inne góry polskie, na Karpaty i na Tatry, a ulega jeszcze i tej odmianie, że tu już sam król ściga jelenia. W pewnym rękopisie z pierwszej połowy XVII wieku, wydanym przez Stanisława Eljasza Radzikowskiego, a mającym tytuł: „Opisanie ciekawe gór Tatrów", czytamy:

„I tam na Michałowym gruncie są dwie dziury... W czerwonym lesie jest buda kamienna z kamienia postawiona. Na kamiennej ścianie zobaczysz króla Bolesława, który jedzie na koniu, a goni jelenia z dwoma psami, a ten jeleń ma krzyż między rogami, a przy zadnich nogach tego konia, co król na nim siedzi, słońce, miesiąc i gwiazda jedna. Ten król jedną ręką pokazuje na drugą stronę ku krzyżowi; przy tym krzyżu szukaj; na ścianie na lewej ręce jest tam dziura zaprawiona, odwaź kilofem, wleź do niej, odbierz, co tam znajdziesz, chwal Pana Boga i na ubogich pamiętaj." Czy miało to być wyobrażenie Chrobrego, czy innego raczej Bolesława, może „Śmiałego", jak zauważa Radzikowski, tę sprawę pozostawia Birkenmajer otwartą. Przypomina wszakże, że legendy o Chrobrym trwają wśród górali tatrzańskich, a jedną z nich jest owa znana legenda o królu, który wraz z swym hufcem śpi snem kamiennym i czeka sposobnej chwili zmartwychwstania.

Witołd Ziembicki

A. GROETSCHEL

Niezwykła zdobycz

Gdy w roku 1919 z końcem maja, po wkroczeniu wojsk polskich do powiatu Dolina, objąłem po siedmiomiesięcznej przerwie zarząd Nadleśnictwa państwowego w R., zastałem tam stan zwierzyny, a głównie sarn, silnie zdziesiątkowany.

Częste patrole straży leśnej — wyparły w krótkim czasie swobodne kłusownictwo — mniej odważni przycichli — natomiast kilku zdecydowanych na wszystko kłusowników wpadało od czasu do czasu od strony granicy wschodniej Nadleśnictwa, by niszczyć pozostałe resztki zwierzyny.

Ponieważ patrole straży leśnej nie zdołały przychwycić najniebezpieczniejszych kłusowników — po porozumieniu się z leśniczym W. B., urządziliśmy dobrze zorganizowaną zasiadkę.

W jedną z niedzieli czerwcowych 1919 roku, z brzaskiem dnia, obsadziliśmy w głębi lasu znane przesmyki kłusownicze w ten sposób, że pomieniony leśniczy wraz z trzema gajowymi zajął stronę północną przeszło stu hektarowego młodnika — ja zaś z młodym leśniczym Bl. i dwoma gajowymi, obstawiłem stronę południową, przyczem stanowiska zajęliśmy pojedyńczo w dość znacznej od siebie odległości.

Wysunąwszy się najdalej na południowy wschód — kryty dużym krzakiem łozy, zlustrowałem szkłami całą widoczną stąd partję lasu. Jakież było moje podniecenie — gdy w odległości około 600 mb. spostrzegłem na działce leśnej bardzo wysokiego draba z karabinem przewieszonym przez ramię — idącego wprost ku mnie. Upewniwszy się przez chwilę obserwacji, że powyższy osobnik wyjdzie na punkt przezemnie zajmowany — wycofałem się ostrożnie z poza krzewów i skoczyłem, co sił stało, do najbliższego gajowego. Dawszy mu krótkie polecenie, by dał znać swemu sąsiadowi o stanie rzeczy i czem rychlej zdążał mi na pomoc — pomknąłem co żywo z powrotem na zajmowane przedtem stanowisko.

Zwolniwszy na jakie 30 kroków przed działką — posuwałem się z dużem napięciem nerwów do ostatniego punktu ukrycia i gdy spojrzałem przez szkła — odetchnąłem z ulgą:

Kłusownik nic nie wiedząc o czyhającej nań zasadzce — szedł wprost ku mnie, i był jeszcze oddalony o jakie 300 mb.

W czasie, gdy śledziłem go lornetką, nadbiegł gajowy Jan Kucil. Pokazałem mu cel naszej wyprawy — patrzył długo na zbliżającego się, poczem spojrzał na mnie, jego czarne oczy jaśniały silnym blaskiem, a smagłą twarz okrasił uśmiech zadowolenia. Tak trwaliśmy czas jakiś w ukryciu, czekając na zbliżenie się kłusownika, gdy od zachodu nadbiegł do nas leśniczy Bl. z drugim gajowym. Wówczas przegrupowaliśmy się w ten sposób, że ja kryty gąszczem, cofnąłem się ku zachodo-

wi, a następnie zająłem pozycję za grupką 10-letnich świerków, tuż naprzeciw działki, którą szedł kłusownik, trzej zaś moi towarzysze pozostali na dawnem miejscu, by zaatakować przybysza, skoro zrówna się z nimi.

Z mojej kryjówki widziałem dokładnie — jak kłusownik posuwał się wolno — jak zdjął z ramienia karabin — jak rozglądał się za zwierzyną na prawo i lewo. W miarę, jak zbliżał się do nas, schylałem się coraz bardziej — by mnie nie dostrzegł — a gdy wreszcie dzieliła nas odległość 30 kroków, usunąłem się zupełnie na ziemię za nieduże świerczki. — Z tej pozycji nie mogłem już dalej obserwować nadchodzącego kłusownika. Po chwili usłyszałem tuż przedemną gwałtowny ruch — zerwałem się na nogi i oczom moim przedstawił się następujący widok:

Leśniczy Bl. stał z dubeltówką w ręku z odciągniętemi kurkami, z palcem na cynglu — naprzeciw zaś niego w odległości trzech kroków, wysoki silnie zbudowany, około 30-letni kłusownik, mierzył z karabinu rosyjskiego wprost w pierś przeciwnika. Zrozumiałem od razu, że leśniczy Bl. nie może zdecydować się na strzał do człowieka, a nadto, że kłusownik widząc tylko jednego przeciwnika przed sobą — gotów jest wypalić mu w pierś — zamiar ten bowiem widać było wyraźnie z jego zaciętej i groźnej twarzy. — Zdecydowałem się przeto w jednej chwili na możliwie szybki strzał, lecz że byłem oddalony o jakie 12 kroków od kłusownika — dwaj zaś pomienieni przeciwnicy stali tuż naprzeciw siebie — nie mogłem zaryzykować strzału z pod pachy — lecz zmuszony byłem możliwie dokładnie wycelować w pierś kłusownika.

W tymże czasie i gajowy Kucil zorjentował się — że sprawa przedstawia się bardzo poważnie — złożył się też szybko z dubeltówki w stronę kłusownika — ten zaś widząc, że wprawdzie zdoła uprzedzić nasze strzały — lecz tuż po strzale padnie ugodzony z dwu stron, opuścił lewą rękę w dół, w prawej zaś trzymając karabin za łoże, podniósł go wysoko w górę — na znak poddania się. Wówczas skoczyłem ku niemu i niemal bezwiednie uderzyłem go kolbą karabinka myśliwskiego w plecy — to samo powtórzyli dwaj nasi towarzysze — odbierając mu karabin. — Proszę nie bić — jestem Polak" — rzekł czystą polszczyzną przyłapany, mimo, że pierś jego i szyję zdobiła wyszywana koszula. — „W politykę wogóle — a szczególnie w lesie nie bawię się — odrzekłem, — możesz być Anglikiem, nie chodź tylko ze strzelbą po lesie, a będziemy żyć w zgodzie". — Wobec tego zapewnienia z mej strony, dalszą rozmowę prowadził po rusku. Przyznał się, że nazywa się Ilko H. pochodzi z K., opowiadał dalej, że nie powinien był dnia tego iść na łowy do lasu, miał bowiem złe sny (śniło mu się wesele, a to dla myśliwego bardzo niedobra wróżba) potem jakiś głos wewnętrzny doradzał mu bardzo usilnie, by zmienił miejsce łowów, lecz niestety głosu tego nie zrozumiał. W końcu oświadczył, że wyjaśnił nam kim jest — nie zaprzecza, że miał zamiar ubicia zwierza — prosi, żeby mu pozwolić odejść, gdyż i tak nigdzie prowadzić się nie da. — Wówczas usiedliśmy na chwilę wziąwszy naszą zdobycz do środka.

Po upływie pół godziny kazałem gajowemu Kucilowi wyciąć buczka dość giętkiego, jednak, by na nim pozostało kilka grubszych nie całkiem zrównanych sęków — a kiedy to było gotowe, daliśmy kłusownikowi alternatywę, albo pójdzie z nami na nasze grzeczne zaproszenie — albo zmuszeni będziemy przemówić doń kijem. — H. powiódł po nas niepewnym wzrokiem i uwierzył w to, o czem ja poważnie nie myślałem, że go będziemy katować. — „Jak treba kończe, to pidu" — rzekł i poszedł z gajowymi aż do posterunku Żandarmerji w Dolinie.

Sprawa poszła do Sądu — kłusownik odsiedział pełny rok, lecz umiłowanego zawodu kłusownictwa nie porzucił wcale. — Stał się od tego czasu bardzo ostrożny, nie chodzi już wcale w czasie kłusowniczych polowań linjami — ani drogami leśnemi — lecz zawsze przedziera się środkiem lasów. Jest nadal plagą kilku sąsiednich majątków leśnych. Ścigany kilkakrotnie bezskutecznie, w końcu trzykrotnie w ciągu dwu miesięcy widziany przez straż leśną ze strzelbą w ręku na terenie tutejszego Nadleśnictwa, skazany na cztery tygodnie aresztu, uznał ten pobłażliwy wymiar kary za wielką krzywdę. Sprawa w rekursie — ciągnie się od roku. — H. podobno znakomity strzelec kulowy — nienasycony niszczyciel zwierzyny, dla którego nie istnieją ani granice terenów łowieckich — ni żaden czas ochronny — niebezpieczny dla personalu leśnego i łowieckiego — kłusownik, o niezamkniętej jeszcze karcie życia. Obawiam się, że bliska przyszłość wpisze tam różne ciekawe — bodaj, czy nie krwawe epizody.



SZYMON MOŻAROWSKI

„Moje przygody”

III.

Po śmierci ś. p. rodziców moich, odziedziczyłem jako 20-to letni chłopiec dwa majątki, leżące w sokalskim powiecie. Celem wymierzenia podatku przenośnego, który wówczas w Austrji wynosił 4% od ogólnej sumy wartości spadku, zesłał mi Urząd wymiaru należytości w dniu 16 stycznia 1883 r., komisję szacunkową w osobach notarjusza sokalskiego ś. p. Ignacego Krausa, ś. p. p. Wysockiego, właściciela dóbr Ostobusz* i ś. p. p. Falkowskiego, ówczesnego właściciela dóbr Słuchów. Komisja ta miała za zadanie ocenić wartość majątku nieruchomego, jakoteż ruchomości, inwentarzy i t. d., dla wymierzenia wysokości podatku. Oszacowanie zaś ziemi nie mogło być dokładne, gdyż było utrudnione z tego względu, iż przykrywał ją śnieg grubą warstwą. — To też czynności komisji w tym majątku, w którym mieszkałem, wlokły się dość długo, bo aż dwa i pół dnia.

Dobrze już po południu dnia 19 stycznia, oświadczył mi notarjusz, iż z powodu tego, że tak długo nie może opuszczać kancelarji, musi powrócić do domu; panowie oceniciele zaś uczynili to samo z propozycją, ażebym na drugi dzień raniutko przyjechał do drugiego majątku, tuż koło Bełza leżącego, gdzie oni mając mniejszą odległość z domu, w tem miejscu będą mnie już oczekiwać. Musiałem naturalnie na to przystać i ażeby nie trudzić się zbyt rannem wstawaniem i drogą wynoszącą około 4 mile, dodnia przy silnym mrozie, umyśliłem pojechać nocą i przenocowawszy w Bełzie, stawić się raniutko w Witkowie. Tak się też i stało.

Ażeby drogę tę przebyć jak najprędzej, kazałem zaprządz dwie młodziutkie a szybkie szpakowate klacze do nadzwyczaj malutkich sanek w ten sposób skonstruowanych, że miały z tyłu jedno siedzenie na szczupłe dwie osoby, zaś zamiast kozła, przytwierdzone było siodełko na żelaznych prętach tak, że nogi osoby siedzącej w siedzeniu tylnem, znajdowały się pod przedniem siodełkiem. Wybrałem się w drogę około godziny 9-tej wieczorem, biorąc ze sobą na wszelki wypadek strzelbę. Noc była bardzo piękna, wiatru nie było prawie żadnego, księżyc świecił cudownie, mróz zaś dochodził do jakich 16° R. — Zmęczony kilkudniową asystencją przy oszacowaniu, usnąłem w sankach i nagle, poczułem dość silne szarpnięcie w okolicy szyi. Pochodziło ono z ręki furmana, który utkwiwszy wzrok naprzód, w ten sposób starał się mnie nagle obudzić, przyczem poczułem, że jesteśmy w lesie, że sanki stoją i że musiało się wydarzyć coś niezwykłego, gdyż konie przestraszone silnie chrapiąc, wyprężyły głowy do góry.

Wychyliwszy się z poza pleców furmana, widzę w oddali jakąś furę, czy coś podobnego, posuwającego się z wolna ku nam. Było to w lesie pozdzimirskim, względnie bendiuskim, należącym do Ordynacji Poturzyckiej. Przyglądając się dokładnie, widzę jakąś plamę ciemnoszarą przybliżającą się do nas, a idącą w głębokich kolejach wybitych saniami w grubej warstwie śniegu. — Konie okazywały coraz większy niepokój, chrapiąc ustawicznie, przysiadając na zadach i skacząc raptownie to na bok, to na dyszel, co nasunęło mi myśl, że zapewne będziemy mieli przeprawę z wilkami. Rzeczywiście nie umyliłem się. Stadko wilków złożone z 8 sztuk, zbliżało się szybko ku nam i miałem wrażenie, jako młody chłopiec nie obyty jeszcze z tarapatami nocnemi, że jestem zgubiony i albo będę rozszarpany przez zgłodniałe wilki, albo konie, straciwszy cierpliwość, poniosą nas, rozbijając nam głowy o leśne drzewa. W przestrachu nakazałem furmanowi by z całych sił trzymał przestraszone konie, co do wytrzymałości zaś lejców byłem spokojny, bo były to lejce poczwórne, tak zwane francuskie.

Wilki zbliżywszy się na jakich 30 kroków, widząc, że nie ustępujemy kroku, wzięły się do innej taktyki. Poprzeskakiwały bowiem pojedyńczo przez rów okalający gościniec, podeszły bliżej naszych sanek, niektóre posiadały i zajęły stanowisko zeczepno-odporne. Położenie nasze nie było do pozazdroszczenia. — Włos zjeżył mi się na głowie, gorąco buchnęło z zanadrza i czułem, jak czapka z powodu zjeżania się włosów, podnosi się na głowie i w tym przestrachu zapomniałem o strzelbie. Sięgnąłem tylko mimowoli do kieszeni futra, w której znajdował się rewolwer, a który ze zwyczaju, zawsze ze sobą nosiłem i dobywszy go szybkim ruchem z kieszeni, złożyłem się mierząc do najbliższego wilka, stojącego po kolana w śniegu, z szyderczo wyciągniętym pyskiem ku mnie, zaścielając kudłami z pod brzucha śnieg pod sobą. Ale daremny był mój wysiłek, gdyż rękaw z futra zasłonił całą mą rękę wraz z rewolwerem i chociaż odległość od wilka wynosiła zaledwie jakich 15 kroków, a stał on na miejscu oświetlonem księżycem, czułem, że trafienie go, byłoby chyba przypadkowem. Pomimo to trzeba było strzelać.

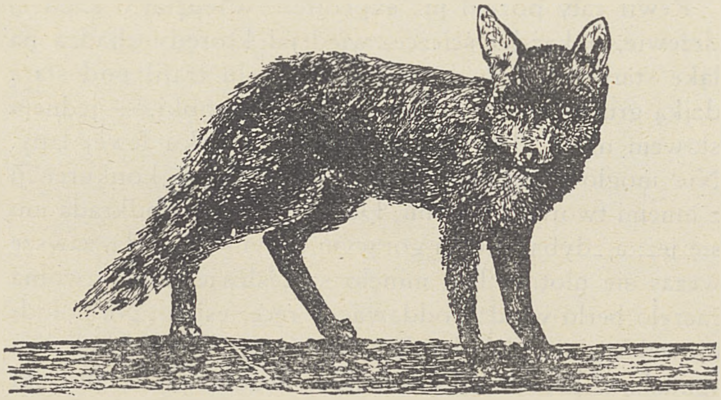
Pociągnąłem za cyngiel — strzał huknął, potem drugi i byłbym może wystrzelał cały zapas naboi znajdujących się w rewolwerze, gdyby nie to, że konie i tak już nadzwyczaj zdenerwowane, porwały się z miejsca i w największym pędzie gnały jak wicher przed siebie. Przyznam się, że było mi to trochę na rękę, zarzuciłem tylko duży kołnierz podróżnego futra na głowę, ażeby ją ile możności ochronić od ukąszeń i pazurów ewentualnie pędzących za nami wilków. — Co się zaś działo, to jest, czy wilki pędziły czy nie, nie miałem odwagi spojrzeć, uważając tylko, czy przypadkiem nie wylatuję z sanek.

Po kilkunastu minutach takiej szalonej gonitwy, wciąż jeszcze nakryty kołnierzem futra, poczułem, iż sanki jak z pieca, skoczyły raptem w dół, a sądząc, że trafiliśmy na jakąś przeszkodę, podniosłem głowę i z ulgą na sercu zobaczyłem, że jesteśmy już na lodzie na Bugu pod miastem Krystynopolem. Para z koni waliła jak z lokomotywy.

* Zapewne ojca dzisiejszego właściciela. — Red.

Powracając po oszacowaniu Witkowa w dwa dni później, chciałem zobaczyć po śladach co się stało z wilkami po naszym odjeździe i czy przypadkiem który z mych strzałów nie był celny, lecz niestety, śnieg który padał w międzyczasie, przykrył ślady na jakie 3 cm i uniemożliwił dokładne ich rozpoznanie. Były tylko jamki wyciśnięte stopami wilków, ale śladu od kul na śniegu nie można się było dopatrzyć.

W kilkanaście dni później ubito w korczyńskich lasach, jak słyszałem, dwa piękne okazy z tej szajki.



STANISŁAW BYDŁOWSKI

Czy zwierzęta myślą?

Zachęcony pięknemi artykułami w „Łowcu", chcę podzielić się z czytelnikami paru moimi spostrzeżeniami.

W 1912 roku dostałem w prezencie od wuja mego wyżła.

Było to fenomenalnie głupie stworzenie i do polowania nie nadawał się zupełnie, ale, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, trzymałem go, a żeby odróżnić od porządnych psów chodzących w służbie u Św. Huberta, nazwałem go, ku oburzeniu ofiarodawcy — Filusiem.

Filuś umiał tylko jedną rzecz. Można było mu przed nosem położyć największy przysmak i powiedzieć grubym i groźnym głosem „baba piekła" i odejść nawet na parę godzin, a Filuś przysmaku nie ruszył i zjadał go dopiero na powiedzenie „panna piekła", wypowiedziane głosem łagodnym i tonem zwykłym. Kiedyś chcąc wypróbować, czy Filuś rozumie tylko ton głosu i kolejność tych zdań, gdyż przedtem zawsze „baba piekła", a potem dopiero panna, powiedziałem mu głosem groźnym i grubym „panna piekła" i Filuś natychmiast z zadowoleniem przysmak zjadł. Próbowałem w ten sposób różnej kolejności zdań i tonacji głosu i Filuś nigdy się nie pomylił, a więc myślał.

W czasie wojny polowałem stale z sąsiadami moimi ś. p. Józefem Krasickim, Romanem Podoskim, Edmundem Wyżykowskim i synem p. Romana, dziesięcioletnim Jasiem, obecnie inżynierem. P. Roman miał 2 gryfony importowane, ongiś podobno bardzo dobre, wtedy już wiekowe. Sztrolch zniedołężniały już pies, który na polowania z nami nie chodził i Freja jego małżonka, jeszcze wcale dobra. Z majątku rodziców moich Jackowicy w południowo-wschodniej Kijowszczyźnie, jeździłem do sąsiedniej Kniarzy-Krynicy p. Krasickiego, a stamtąd z całem już towarzystwem do Nowosiółki, też majątku rodziców, gdzie było doskonałe błotko (ruda) przechodzące w zarośnięty staw, eldorado błotnego i wodnego ptactwa. Ponieważ w Nowosiółce nikt nie mieszkał, więc po polowaniu wracaliśmy do Kniarzy i tam po kąpieli w stawie, przy kolacji omawialiśmy myśliwskie psie i kacze wyczyny. Podczas polowania, kąpieli i kolacji asystowała nam oczywiście Freja. Nad brzegiem stawu miała zakopany klocek drewniany, który, gdyśmy się kąpali, odkopywała i przynosiła. Klocek rzucaliśmy do wody, a ona go aportowała i po ukończonej naszej i psiej tualecie, zakopywała znowu do następnego polowania.

Któregoś dnia w czasie polowania w Nowosiółce, kaczka strzelona daleko spadła w oczerety stawu. — „Freja aport" — i Freja poszła. Długo buszowała po oczeretach i wyszła na brzeg, a następnie podeszła do nas lecz bez kaczki. Pysk cały i łapy miała zawalane ziemią.

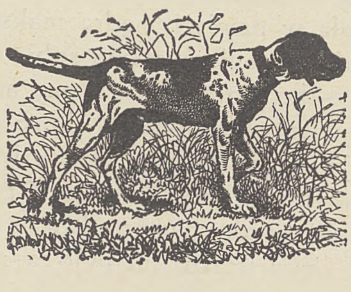
Domyśliliśmy się, że kaczkę wydostała i zakopała na łące w kretowisku, lecz w żaden sposób nie mogliśmy jej zmusić do oddania nam kaczki.

Powróciliśmy do Kniarzy. Freja nie przynosiła nam tego dnia swego klocka i była bardzo zamyślona. Przy kolacji, zakąski, doskonała kniarzowska starka i tradycyjne, a ulubione przez nas, kluski z serem tak zwane „klęski" i rozmowa o polowaniu, w której czynny udział brała zawsze i Freja. Dziś siedziała pod piecem zamyślona i zawstydzona swoim czynem nie myśliwskim, który jej wypominaliśmy, z dodatkiem epitetu złodziejka.

W pewnej chwili, gdy służący otworzył drzwi, Freja z westchnieniem wstała i wyszła. Do błotka, na którem polowaliśmy, było około 4 kilometrów. Po może pół godzinie, weszła znowu przez otwarte drzwi z kaczką w pysku, położyła ją na środku pokoju z miną „jak mi jej żałujecie, to ją sobie weźcie" — i wyszła.

Nadzwyczaj ciekawe było obserwować ją, gdy przysłuchiwała się naszej rozmowie i ze wstydem rozpamiętywała swój niehonorowy czyn, aż sumienie zwyciężyło.

Uważam, że fakt ten jest niezbitym dowodem, że pies nietylko myśli, lecz pamięta swój czyn, analizuje go, przechodzi wyrzuty sumienia i po medytacji, stara się swój brzydki czyn naprawić i ocalić nadszarpnięty psi honor.



JAROSŁAW HUBÁLEK

Pustelnik z pod Sokolej Skały

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

II.

Czy go kto uczył sztuki budowlanej? Oczywiście nikt — i tylko instynkt wrodzony i odpowiednia budowa kończyn sprawiły, że praca raźno szła naprzód — tak dalece, że w stosunkowo krótkim czasie, borsuk cały znikł pod ziemią. Jeno glina, szybko wyrzucana na powierzchnię, świadczyła, że tam w głębi wre praca. — Potem i to ustało. Borsuk zagarniał pod siebie przedniemi nogami poruszoną ziemię, tylnemi posuwał ją dalej i tak posuwał się tyłem ku wylotowi. Co pewien czas pojawiała się nowa kupka na powierzchni, starannie i daleko rozgarniania wkoło tylnemi pazurami. Do rana praca znacznie była posunięta naprzód — Należało zażyć zasłużonego odpoczynku. — Wszak miał poza sobą około czterech metrów. Nie przyszło mu to zbyt łatwo. Natrafił na ślepy kamień i musiał go obejść. Po pierwszym metrze natknął się na odłam skały i zaczął kopanie na nowo z drugiej strony. Pierwszego otworu jednak nie zasypał — kto wie, może się kiedyś na coś przydać. — Usnął zmęczony i przespał cały dzień; dopiero wieczorem, obudziło go kurczenie pustego żołądka. Pamiętając na zwyczaje matki, wytknął nos z dziury dwa razy i dopiero opuścił mieszkanie, w poszukiwaniu wieczerzy. Idąc pod wiatr, poczuł miły zapach gnijącego mięsa. Patrzy: leży wrona, postrzelona widocznie, a obecnie od tygodnia czekająca na amatora dobrze skruszałej zwierzyny. Pojęcia nie miał, że to takie smaczne! Na małej polance zatrzymał się pod dziką gruszą i użył do woli robaczywych opadałek. Z pełnym brzuszkiem kłusował sobie niefrasobliwie dalej po strażniczej ścieżce, gdy niespodziewanie na ostrem jej zagięciu spotkał się oko w oko z rudą liszką.

Dla borsuka było to spotkanie niespodzianką, lecz bynajmniej nie dla lisa. Borsuk stąpa dość głośno, słychać go dobrze i lis dawno wiedzieć musiał o jego zbliżaniu się, a że czekał, tłumaczę to sobie bądź jego wrodzoną ciekawością, bądź też nadzieją zdobyczy. Borsuk, choć tak młody, nie cofnął się, a gdy rudy obces doń skoczył — wyszczerzył zęby i fuknął groźnie. Błysnął kłami lis, błysnął i borsuk, skurczył się w sobie, by nie dopuścić do zdradliwego chwytu za gardło i ruszył naprzód. Lis nie czekał ataku,lecz lekkim, eleganckim skokiem usunął się ze ścieżki i znikł w zaroślach, borsukowi zaś pozostała w pamięci mądra maksyma życiowa: nie schodź nigdy z drogi równemu sobie — ustąp tylko mocniejszemu — bo dla słabych niema miejsca w lesie.

Do rozpoczętej pracy powrócił, skoro gwiazdy blednąć poczęły i ozwał się pierwszy trelik leśnego śpiewaka. Pracował wytrwale cały dzień, boć robota szła już pod ziemią, a więc w ukryciu przed okiem każdego nieprzyjaciela. W ciągu trzech dni było wszystko gotowe i wejście i sala rycerska i zaciszna sypialnia i wyjście rezerwowe, i otwór wentylacyjny i śpiżarnia, a nawet wygódka. Spód chodnika wszędzie poziomy, strop zaś sklepiony, zapewniał swobodny ruch borsukowi, a wielce utrudniony każdemu intruzowi. Nakoniec zamaskował od zewnątrz wylot odwodowy gałązkami, cienką warstwą ziemi i suchym liściem, wyrzuconą ziemię rozgarnął szeroko, naniósł dla niepoznaki mchu i liści — i — dzieło było skończone. Odetchnął z ulgą i ruszył na łowy.

Rewir cały poznał już expedite. Wiedział o każdem drzewie, o każdej ścieżce, wiedział którędy chadza na łąkę stary — siwy zając, bez namysłu trafił pod starą dziką gruszę, wiedział gdzie nocują jarząbki, — jednem słowem miał cały rewir w małym pazurku lewej łapy. Nie mogło być inaczej, nie wytrzymałby konkurencji z innemi tworami leśnemi. Do gruszek np. podkrada mu się jeż, a zdybać się na gorącym uczynku nie da, zawsze wczas się ulotni. Tak minęło szczęśliwie lato i zwolna zaczęło berło władzy oddawać w ręce jesieni. Na południowej stronie niejeden liść się żółcił, dojrzała bukwica spadała z drzewa, dochodziły żołędzie, płone gruszki spadły co do jednej. — Nasz bohater zmężniał już i rozrósł się na schwał, grzbiet powoli zaokrąglił się warstwą tłuszczu. O prowiant też o wiele łatwiej było. Myszy moc, tłustych, wypasionych bukwicą, a tak głupio budujących mieszkanie, że jedno drapnięcie pazura wydobywało na wierzch całą rodzinę. Dla rozmaitości, zachodził nad potok po smaczny korzonek, lub ślimaka, lub dziką cebulę. Za to pogoda była fatalna — ciągłe deszcze, noce zimne i co raz dłuższe. Coraz też mniej ochoty miał nasz pustelnik do dalszych wycieczek, ociężał i dziwna rzecz — był coraz senniejszy. Skąd mógł, nazbierał liści, przytaszczył to nad norę i wysłał ją miękko a starannie i wygodnie.

Czy można się dziwić, że przy tem był za mało ostrożny? Że powinien był zatrzeć ślady swego istnienia, zniszczyć wyraźną ścieżkę, jaką wydeptał zupełnie wyraźnie w ciągu lata? Zapomniał o tem, że tłusty brzuszek wlecze mu się po samej ziemi i rozgarnia na obie strony warstwę liści i, że po takiej dróżce wyszlakuje go na oko każdy nieprzyjaciel. Nie dziwmy mu się jednak! Był młody, niedoświadczony i nie spotkał dotąd nikogo, kogoby musiał się obawiać. Lis schodził mu z drogi, wilków tu nie było, jeleń i sarna nie zwracały nań uwagi, a człowieka jeszcze nie znał.

III.

Po jesiennych deszczach puściły się grzyby niezwykle obficie. Przez proste łakomstwo, bo nie z głodu, używał borsuk tego przysmaku do woli. Łączki nad potokiem pełne były rydzów, a, że te najlepiej w mieście płaciły, miały też najwięcej amatorów, a największego w osobie Jurka Hulaja z Kamienicy. Był to sobie jeden z tych ptaków niebieskich, co nie sieją, nie orzą — a przecież żyją. I on żył, a jak i z czego, o tem głównie wiedział on sam, a po trochu gajowi, żandarmi i straż celna.

Złożyło się, że Jurko dostał z miasta zamówienie na koszyk wyborowych rydzków, w domu nie było co w garnek włożyć, a na dobitek złego, Mosiek dostał świeży transport wyśmienitej okowity. Niema rady — trzeba do lasu! Wyruszył o świtku, z przyzwyczajenia zszedł z drogi, nie zależało mu bowiem na spotkaniu z gajowym, przemknął się więc wąwozem i przepadł w lesie. Jak między zwierzętami są odmiany, które nie gardzą żadnem pożywieniem — i te nazywamy wszystkożernemi — tak i między ludźmi spotykamy osobniki, żywiące się wszystkiem bez wyjątku. Zdechła wrona smakuje im tak dobrze, jak bażant, pies — jak wieprzowina, kot — jak jarząbek. Apetyty miewają takie okazy zupełnie zwyrodniałe: oblizują się po odkopanej padlinie, a do ustby nie wzięli ostrygi. Takim typem był Jurko, z tą tylko różnicą, że o ostrygach nic nie słyszał, i nikt go o sąd w tej kwestji nie pytał. — Jadł jednak wszystko i pił też wszystko. Żywność zdobywał sobie sam — przeróżnemi sposobami. Nikt we wsi lepiej nie wiedział o każdem chorem cielęciu lub krowie, nikt ze straży leśnej nie znał lepiej wszystkich gniazd w lesie. Zabił gajowy psa-włóczęgę, na pewno jutro go tam nie znajdzie, za to z chałupy Jurka rozchodzić się będzie woń smacznej pieczeni.

Przedewszystkiem jednak zawziętym był na nory borsucze. — Borsuk w jesieni — mawiał — to prawdziwy przysmak. I wielkie to szczęście dla człowieka biednego, że panowie tego nie jadają. — Fatum zaś wiodło go akurat w gęstwinę, gdzie nasz pustelnik mieszkał. Drogami bowiem Jurko nie lubił chadzać, twierdząc, że po drogach grasują rozbójnicy. Tak też i dziś podkradł się pod sam gąszcz — stanął i nasłuchuje. Coś idzie! Może sarna, bo tu właśnie mają swoje stałe przechody? Warto się przekonać, a że strzelby nie ma — to nic! Do Bobajowej łąki nie daleko, a tam przecie w wypróchniałym buku tkwi jeden z jego manlicherów...

W tem chrupnęła gałązka gdzieś w tyle — skryć się trzeba, póki czas. Gąszczem bukowym brnie się lepiej, niż świerkowym, gdzie ostre igły tną po twarzy i zmuszają do zamykania oczu. Szedł, szedł, aż trafił na suchy pień buku. Jeden rzut oka i stary kłusownik odgadł żywą istotę pod korzeniami, jedno obejrzenie wylotu powiedziało mu wyraźnie, kto norę zamieszkuje. A nora jest tegoroczna, więc młodego borsuka, co zresztą widać po wielkości otworu, i w dodatku od niedawna zamieszkała, bo ma tylko dwa wyloty...

Jurko był za starym kłusownikiem, aby się miał zbyt długo zatrzymywać nad borsuczą norą. Poszedł więc snując po drodze plan zdobycia paru kila sadła i tłustej pieczeni. I wkrótce plan był gotów. Ot! weźmie jutro najstarszego syna, pod gunią ukryje łopatę i siekierę na wszelki wypadek, a wykopie borsuka we dwie godziny, jak amen w pacierzu!

Tak się też stało — przynajmniej co się tyczy pierwszej połowy planu. O świtku byli już na miejscu. Żeby zaś mieli borsuka jeszcze nie zastać w domu, o to się Jurko nie martwił, jesienią bowiem borsuk albo wcale, albo na krótko i to z wieczora wychodzi z nory. Tata obszedł uważnie wkoło w promieniu czterdziestu kroków, szukając ukrytego wylotu, nie znalazł jednak żadnego. Przez myśl mu zaś nie przyszło, że ten wylot odwodowy znajduje się ledwie o sześć kroków od wchodu, zupełnie niewidzialny. Wzięli się wtedy ostro do roboty. Zaklinowali na głucho oba wyloty i poczęli kopać tam, gdzie stary domyślał się właściwego legowiska. A borsuk ledwie przed godziną powrócił do domu. — Jeszcze nie spał, gdy o delikatny jego słuch obiły się obce kroki na powierzchni. Nie przestraszył się tem bynajmniej. Tyle razy przecież dudniały kroki dzików i jeleni — może i teraz? — Tylko te kroki odzywały się trochę inaczej, a zupełnie tak samo jak wczoraj — i to go trochę niepokoiło. A jeszcze głosy rozmowy, choć ciche, lecz zupełnie wyraźne! Skurczył się w swej sypialni i nasłuchiwał. Wtem — pierwsze tępe uderzenie siekiery, przecinającej korzeń — i ze stropu sypią się kawałki gliny pomieszane z kamyczkami. Co się dzieje, tego nasz pustelnik nie wiedział dobrze, przeczuł jednak, że coś mu grozi i że trzeba mieć się na baczności. Siekiera tymczasem grzmiała coraz wyraźniej, ze stropu sypało się coraz obficiej, aż nagle do komory przebiła się ostra łopata — boleśnie uderzając w spasły kark borsuka. — Niema co czekać! Rzucił się do głównego wylotu.... zamknięty! Chciał próbować drugiego, ale przyszło mu na myśl, że i ten będzie zatkany. Szczęściem, strop komorowy był tak przerosły korzeniami, że samą łopatą nie można jej było rozkopać. Nim rabusie wzięli się do siekiery, borsuk miał czas prześliznąć się do wylotu odwodowego. Był ocalony. Sprawdził wylot ...wolny. Bez namysłu uderzył kliniastą głową w prowizoryczne zamknięcie, rozwalił je i znalazł się na powierzchni.

„Jest — jest“ — krzyknął młody Iwan, wnet też świsnęła za borsukiem siekiera kłusownika, ale — gdzie tam — już był w gąszczu. Stary puścił się za nim, młody stał z otwartą gębą i stałby tak długo, bo Rusin lubi się dziwić gruntownie — gdyby nie był wnet powrócił tata i ojcowskiem uderzeniem nie zrzucił synowi czapki z głowy. — Czemuś durniu, wcześniej nie zawołał? Plączesz się jeno niepotrzebnie pod ręką — a ja przecie oczu nie mam na wszystkie strony! — I wściekły splunął na całą robotę, zabrał narzędzia i klnąc jak poganin, poszedł do domu.

Jeszcze na dobitek złego natknął się na samego pana leśniczego. A że ten rzadko kiedy bywał w dobrym humorze, na jesieni zaś prawie nigdy — jako, że reumatyzm w kolanie nie nastraja ludzi dobrze — tedy suma sumarum Jurko nie tylko postradał swe narzędzia, ale i czapkę, chlubne wspomnienie niewoli rosyjskiej, która spadła mu z głowy na jakie dziesięć kroków, a lepiej było jej nie szukać, niż doczekać się poprawin.

Nasz dezerter zaś z krwawą blizną na tłustym karku, unosił wytrwale obwisły brzuszek w bezpieczniejsze miejsce. Wciąż miał wrażenie, że nieprzyjaciel jest tuż — tuż. Odsapnął dopiero koło południa, na piątym ponoś szczycie. Na chwilę tylko, bo złapawszy trochę po-

wietrza — umykał dalej. Nawrócił do potoku, przebrodził go, napił się chciwie zimnej wody i wolniejszym już tempem ruszył na przeciwległe zbocze.

Znalazł się w starym, wysokim lesie. Wkoło stały długie, proste jak świece, kolumny buków i klonów. Tu i ówdzie na zielonem jeszcze tle wierzchołków odrzynała się czarniawą plamą jodła. osypana u stóp grubą warstwą puszystego igliwia. Z mchów zaś skromnie wznosiły się wątłe główki nasiennych wyrostków. Pełno ich tu było. Chronione gęstemi koronami matek, rosły bez opieki ludzkiej, czekając jak rezerwa bojowa, aż wiekowa matka zwali się od wichru, czy starości. I czekały cierpliwie. Nic to, że ciepły promień słońca mało kiedy muśknie młodą główkę, i na nie przyjdzie kolej — i one kiedyś powołane zostaną do życia, do wolności. Wiedziały, że przyjdzie, że przyjść musi, i gotowały się na tę chwilę nieznacznie, lecz tem wytrwalej. Podczas — gdy wyrostki ich nadziemne wydłużały się w ciągu roku zaledwie o jeden centimetr, one całą swą uwagę skierowały na korzenie. Więc główny, magistralny parł się prostopadle w głąb, boczne zaś drapieżnie rozpościerały się na boki, szukając pożywienia i oparcia. Natrętnie obrastał je mech, lecz szkody tem nie wyrządzał — przeciwnie — zapewniał im stale równy stan wilgoci. — A przyjdzie czas, że one go zaduszą i strawią! Bo w naturze, jedno życie jest pognojem dla życia drugiego.

(C. d. n.)



Od Małop. Towarzystwa Łowieckiego

Przypominamy rozszerzony ustawowy czas ochronny dla zwierzyny łownej obowiązujący w roku 1931.

W Województwach:

I. lwowskiem, rozp. z dnia 12/XII 1930, L. LRL: 3505/30.

a) na jelenie byki od 1/I do 31/VIII i od 16/X do 31/XII;

b) na sarny kozły od 1/I do 15/VI i od 1/XI do 31/XII;

c) na zające szaraki od 1/II do 31/X;

d) na bażanty koguty od 1/I do 31/XII.

e) na kuropatwy w powiatach: bobreckim, brzozowskim, dobromilskim, drohobyckim, gródeckim, jaworowskim, krośnieńskim, liskim, lwowskim, przemyskim, rawskim, rudeckim, samborskim, starosamborskim, sanockim, sokalskim, strzyżowskim, żółkiewskim, od 1/I do 15/IX i od 1/XI do 31/XII, dla reszty powiatów wojew. lwowskiego, obowiązuje normalny czas ochronny ustanowiony w art. 49 ust. łow.

II. stanisławowskiem, rozp. Wojewody stanisławowskiego z 16/XII 1930, Nr. R. L. 2036/Ło.

a) na zające - szaraki od 16/I do 31/X;

b) sarny - kozły od 1/I do 15/VI i od 1/X do 31/XII;

c) na kuropatwy od 1/I do 15/IX i od 1/XI do 31/XII;

III. tarnopolskim, rozp. wojew. z dnia 3/XII 1930, L. Rej. 3231/30.

a) na sarny-kozły od 1/I do 15/VI od 1/XI — 31/XII;

b) na zające - szaraki od 1/II do 31/X;

c) na kuropatwy od 1/I do 15/IX i od 1/XI do 31/XII;

Dla wszelkich innych gatunków zwierzyny ad II i III obowiązuje normalny czas ochronny.



NADESŁANE

Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta w Krakowie, składa podziękowanie „Towarzystwu Ubezpieczeń Vesta w Krakowie, a w szczególności WPanu Dyrektorowi Marjanowi Lancowi, za obywatelskie i względne załatwienie sprawy ubezpieczenia, w związku z wypadkiem jednego z członków Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16